Rok III.

Nr. 27. Nr. 27.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr. od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 5 lipca 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

TREŚĆ: Trzechsetletni jubileusz. — Odwrotna strona medalu. Kartka z życia przez Wład. Sabowskiego. (Ciąg dalszy) — Samson. Poemat hebrajski Tomasza Olizarowskiego. (Dokończenie). — Gospodarka niemiecka w tak zwanych Prusach południowych. Przyczynek do dziejów ojczystych z ostatnich lat XVIII wieku. (Dokończenie). — Obrazki litewskie. Ze wspomnień tułacza Sobarri. (Ciąg dalszy.) — Lipiński i Paganini w Padwie. — Wystawa wiedeńska. — Wiadomości bieżące o rzeczach polskich. — Skrzynka do listów.

Trzechsetletni jubileusz.

Dzień 25 czerwca był wielkiém świętem dla srodze gnębionej wielkopolskiéj dzielnicy. W dniu tym obchodziliśmy trzechsetny rok założenia gimnazjum Ś. Marji Magdaleny, téj szkoły, która bez względu na koleje i losy, jakim ulegała, dostarczała krajowi od niepamiętnych czasów ludzi, którzy zarówno na polu prac narodowych jak w dziedzinie nauki w pierwszych stawali szeregach. Nie masz prawie jednéj rodziny w Poznańskiém, któréj synowie nie zasiadali od dawien dawna na ławach prastarego gimnazjum, nie masz głośnego w Wielkopolsce imienia, któreby nie znajdowało się na kartach matrykuł ufundowanéj przed trzystu laty szkoły.

Nic więc dziwnego, że poszanowanie tradycji i słodkich wspomnień własnych lat młodzieńczych sprowadziło do Poznania liczny poczet obywateli, pragnących uczcić uroczysty dzień.

Niestety. Jak zwykle tak i teraz śmiertelni wrogowie nie zostawili nam jednéj nawet chwili czystéj radości. Akt uroczysty w gmachu polskiéj szkoły, kształcącéj dziś nawet same polskie dzieci, odbył się po niemiecku, według ukazu z góry. Niemieckie mowy, niemieckie śpiewy, niemieckie tytuły i ordery, oto porządek oficjalnéj uroczystości, odbytéj w atmosferze, którą tylko niewolnicza pierś feldfebla swobodnie oddychać mogła.

Ze strony polskiéj uroczystość dnia obchodzoną była skromnie przy uczcie w bazarowéj sali i kilku serdecznych przemówieniach, które rozpoczął piękny odczyt historyczny Dr. Chosłowskiego z Ułanowa.

Miasto rozpisywania się nad porządkiem téj polskiéj uroczystości i znaczeniem gimnazjum Św. Marji Magdaleny w dziejach naszego narodowego rozwoju, podajemy na tém miejscu świetną mowę czcigodnego Dr. Karola Libelta, która nas z obowiązku najlepiéj wyręczy:

„Panowie koledzy z ław gimnazjalnych!

Charakter każdego większego lub mniejszego społeczeństwa jest wybitnie publiczny, bo to główna cecha odróżniająca społeczność ludzką od zwierzęcéj, to główne znamię żywota narodów dziejowego, naukowego i przemysłowego; to główny bodziec, żeśmy sobie wytworzyli osobny świat ludzki, postępujący zwolna ale bez przestanku naprzód do coraz większéj doskonałości, zostawujący daleko po za sobą ród zwierzęcy, będący dziś takim, jakim był przed wieki.

Podstawą tego publicznego społecznego charakteru są szkoły publiczne. Są one szkołami ludzkości. One wychowują i wykształcają przyszłych obywateli, mężów stanu, uczonych i artystów i tych nieprzeliczonych pracowników w rozmaitych

zawodach i powołaniach urzędniczego, handlowego, fabrycznego i rękodzielnego stanu. Żadna prywatna edukacja szkoły publicznéj zastąpić nie może. Krom jednostronnego wychowania, pozbawia młodzież tych zawodów organicznego i społecznego życia, które się już w szkole zawiązują. Szkoła wyższa publiczna, w któréj się młodzież ucząca pewnéj części kraju gromadzi, jest na podobieństwo słońca, z którego się na kraj cały rozchodzą zawsze promienie duchowego światła; — jest na podobieństwo ogniska ogrzewającego ożywczém ciepłem nauki młode latorośle, że zakwitną i owoc wydadzą — jest na podobieństwo źródła gaszącego pragnienie wiedzy, rozwijającego w nas wyższe szlachetne uczucia, posilającego przyrodzone zdolności, oraz talenta i genjusze. Jaką jest szkoła publiczna, taką będzie generacja w téj szkole do obywatelstwa i przyszłéj pracy publicznéj sposobiona. Im dłużéj istnieje szkoła, tém większe jéj są zasługi, tém obfitsze owoce. — I oto wielkie znaczenie dzisiejszéj naszéj uroczystości, trzechsetletniéj rocznicy istnienia wyższéj szkoły gimnazjalnéj ad S. Mariam Magdalenam. My, dawni uczniowie téj szkoły, obchodzimy tę pamiątkę z wdzięczném i podniesioném sercem, bo i z posiwiałéj a choćby troskami społecznemi obarczonéj głowy, przenosi się myśl chętnie w krainę minionych szczęśliwych czasów, kiedyśmy ochoczo i wesoło na tych samych ławach szkólnych zasiadali. Niewinni sercem, a owiani nadzieją różanéj przyszłości.

Szkoła ta była najprzód kolegjum jezuickiém, otworzoném dnia 25 czerwca 1573 r. za staraniem biskupa Adama Konarskiego i Poznańskiego magistratu. Po zniesieniu Jezuitów była szkołą narodową, urządzoną przez komisję edukacyjną. Za Prus południowych była gimnazjum królewskiém, za Księstwa Warszawskiego szkołą departamentową. Od r. 1815 urządzoném zostało lyceum z wykładem polskim aż do 1824 roku. Nareszcie stanęła jako dzisiejsze gimnazjum katolickie, umieszczone w nowym gmachu, opatrzona nowemi instytucjami. Oto różne koleje tego instytutu naukowego, już świetnéj, już smętnéj pamięci, w ciągu trzechwiekowego istnienia.

Z tego długiego przebiegu czasu, jeden podnoszę wybitny téj szkoły charakter. Była ona zawsze narodowo-polską. Znamię to było naturalne za czasów niepodległości ojczyzny naszéj, a nabrało wielkiego znaczenia w dzisiejszych odmiennych cale stósunkach. Z zatrwożeniem spoglądamy, czy się ten charakter i nadal utrzymâ. Jest niebezpieczeństwo dla języka ojczystego a ztąd i dla narodowości, przy dzisiejszéj organizacji któżby tego nie widział? Ale ta jedyna pozostaje pociecha, że wynarodowienie nie da się inaczéj wykonać chyba zagładą zupełną, w dzisiejszych czasach niemożliwą, albo za własném krajowców przyłożeniem się. Nam samym trzeba się wprzódy wyprzeć polskości naszéj, zapomnieć o smutnéj przeszłości naszego narodu, wyzuć się z charakteru wolnego obywatela, a podjąć rolę marnego służalca, zapomnieć o matce, co mowę naszą rozwijała, o rodzinie i czeladce co nas pieściła, i o wszystkiém co w nas było narodowo-szlachetnego, a dopiéro wyzujemy się z języka i narodowości i staniemy się renegatami.

Przypominam, że za Jezuickich czasów z taką usilnością szerzono w téj szkole łacinę, że i po za szkołą nie wolno było w rodzinnym języku uczniowi przemawiać; przekraczający odbierał zaraz s i g n u m, które posiedzicielowi w sobotę karę cielesną sprowadzało. Przypominam, że za Prus południowych zaprowadzono tu wykład niemiecki, a język polski wykluczono z planu nauk w dwóch wyższych klasach, a jednak ani jedno ani drugie nie zmieniło narodowego charakteru szkoły, bo całe otoczenie rodziny i kraju niweczyło wpływy wadliwéj co do wykładu organizacji szkolnéj na korzyść tylko jednego i to obcego języka.

Podobnie i dziś rodzice i otoczenie, koleżeństwo i czeladka, religja i domowe wychowanie, wpływ osób poważnych wiekiem, znaczeniem i nauką są dość silne, aby w młodzież naszą uczącą się wpoić zamiłowanie języka, dziejów ojczystych i literatury polskiéj przez studja po za szkołą, jeżeli w szkole nie mają sposobności kształcenia się w tych przedmiotach. Pod każdym względem młodzież nasza z tą wyższą usilnością uczyć się powinna, nawet wtenczas, choćby Chińczycy, jeżeli są rozumniejsi od nas, wykładali jéj naukę po chińsku. Bo nauka to światło przyszłego pokolenia, to pochodnia oświecająca nasze oblicze, — przed sobą, przed obcym: biada nam, gdyby wśród nas zrobiło się ciemno. Ćma duchowa — to dopiéro rzetelne niebezpieczeństwo, bo sprowadza martwotę i niewolę, upodlenie, nędzę, pogardę i zapomnienie u obcych.'

Nie daj tego Boże, aby taka ciemnota kiedyś na nas przyszła. Dla tego nauki, jeszcze raz nauki i tysiąckroć nauki nam trzeba acz nam w niemieckim tylko wykładaną będzie języku. Pod względem wykładu będzie to szkoła niemiecka, nie polska, ale pod względem narodowości języka i pamiątek narodowych nie przestanie być polską. Zostanie na gruncie serca młodzieży naszéj gimnazjalnéj to przekonanie, które tak trafnie oddał ś. p. ks. Tomasz Borowicz, mój zmarły przyjaciel:

„Miłą jest obca mowa, lecz milszą sto razy,
Którąm pierwsze na świecie wymówił wyrazy,
Drogą mi ona będzie, a gdy w moim progu
Śmierć zawita, polską mową polecę się Bogu."

ODWROTNA STRONA MEDALU.

Kartka z życia

przez

Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Do tego obrazu położenia Żalickich dodać jeszcze należy, że od niedawna mieszkający w mieście, obdłużeni, cierpiący niedostatek, państwo Łukaszowstwo nie mieli, a kto zna ludzi ten nawet gotów powiedzieć, że nie mogli mieć przyjaciół, oprócz jednego Zakuckiego, który za wiele w życiu sam się najadł nędzy, aby go bieda odstraszała od innych.

Zakucki chciał im przyjść z pomocą, ale najprzód sam nie miał tyle, żeby im mógł pomódz skutecznie, a powtóre tyle walk staczać musiał z dumą Żalickiego, nim ten zgodził się od niego przyjąć najmniejszą przysługę, że gdyby nawet miał odpowiednie środki, nie zwalczyłby jego uporu.

Poczciwy pan Kwiryn długo sobie łamał głowę, jakby temu zaradzić, aż wreszcie wynalazł sposób.

Nie było kogo prosić, żeby trzymał do chrztu małego Wacławka. Pan Łukasz zaproponował to Zakuckiemu.

Matką chrzestną miała być Katarzyna, owa cierpiąca na oko sługa, którą pan Grzmocki wziął w pierwszéj chwili za czarownicę, gotową się podjąć roli kata...

Zakuckiemu aż się oczy zaświeciły na tę propozycję. Ojcu chrzestnemu prawo dozwala być dobrodziejem swego chrzestnego syna. To też odezwał się natychmiast:

— Panie Łukaszu, biorę was za słowo...

Chwila zastanowienia się ostrzegła jednak poczciwego pana Kwiryna, że się zagalopował trochę. To co on mógł dać Wacławkowi nie wystarczało, aby całą rodzinę postawić na nogi. Żaliccy w innym, bogatszym ojcu chrzestnym mogliby znaleźć dobrodzieja, który skuteczniéj podałby im rękę. Pan Łukasz wprawdzie nie pomyślał o tém, ale można było myśleć za niego.

Zająkał się więc trochę i pomięszał pan Kwiryn, coby się dało łatwo spostrzedz w jego oczach, gdyby te oczy nie miały przymiotu żywego srebra, owéj ustawicznéj ruchliwości, na którą już zwróciliśmy uwagę.

Aby jeszcze lepiéj zamaskować swe pomięszanie, pan Kwiryn powtórzył:

— Biorę was za słowo, panie Łukaszu...

— Ależ i owszém, będziecie moim kumem... panie Kwirynie.

— Kumem, nie, — odpowiedział Zakucki, — trzymałem w mojém życiu już kilkoro dzieci do chrztu... i wszystkie... pomarły... Nie mam widać szczęśliwéj ręki... dałem więc sobie słowo, przysiągłem, ślub uczyniłem, że już nigdy ojcem chrzestnym nie będę... Wszelako...

Tu urwał, namyślając się, jakby najgładziéj wziąść się do pana Łukasza i nie zadrasnąć jego dumy.

Wzmianka o zmarłych chrześniakach pana Kwiryna była po prostu kłamstwem, bo mu oczy biegały bardziéj jeszcze niż zwykle, gdy o tém mówił. Niech go sobie za to kwakry potępią, nam się jednak zdaje, że na szali wiecznéj sprawiedliwości kłamstwo to padło nie na tę stronę, gdzie zwykłe kłamstwa padają.

— Ha! jeśli tak, to szkoda, — odrzekł smutnie Łukasz, — ale w takim razie na cóż to odemnie panie Kwirynie żądacie słowa?

— Wszelako żądam od was przyrzeczenia, że nikt inny nie będzie chrzestnym ojcem waszego Wacławka tylko ten, kogo ja mu wybiorę.

Żalicki już wyciągał rękę, ale ją cofnął prędzéj nim pan Kwiryn zdołał uchwycić.

— Nie chcę, — odrzekł stanowczo, — pójdziecie prosić jakiego magnata, aby nam oddał chrześcijańską przysługę, a potém czém z łaski obdarzył... Wolę umrzeć z głodu niż żebrać.

Pan Kwiryn spostrzegł, że jego tajemny zamiar został podchwycony i odgadnięty, nie stracił jednakże miny i kłamał daléj:

— O! o! o! cóż to?... czy ja z magnatami za pan brat jestem, a taki skory do żebrania? Nie znacie to mojéj historji, mojéj biedy panie Łukaszu?

Żalicki nie miał co odpowiedzieć.

— Kogóż mi myślicie dać za kuma? — zapytał.

— Poczciwego człowieka i na tém dosyć, — odparł Zakucki, — będziecie mieli jednego przyjaciela więcéj jak go poznacie... wszelako mam wasze słowo.

Łatwo się domyślić, że Zakucki nie miał jeszcze nikogo upatrzonego, gdy robił tę umowę z panem Łukaszem, i że potém długo się bił z myślami, do kogoby tu szturm przypuścić.

Widzieliśmy jaki uczynił wybór i jaki mu się udało zrobić interes.

Był już pewnym, że niezadługo pokuma bogatego filantropa z prawdziwą nędzą, którą przy chrzcielnicy reprezentować miała ślepa Katarzyna. Układał sobie, że niejednych tylko Żalickich ukaże zdumionym oczom Krezusa, znającego ubóstwo z powierzchowności tylko; upatrzył kilka innych, również ciekawych okazów odwrotnéj strony medalu...

Tymczasem nieszczęśliwy, nieprzewidziany wypadek na schodach mógł bardzo pokrzyżować te piękne plany.

To też Zakucki spiesząc do doktora, klął w duchu:

— Djabli to wszelako nadali:... Tego mi tylko jeszcze brakowało!...

V.

Wiemy już, że pan Maurycy przyszedł do przytomności i niejakiéj świadomości swego położenia, złudzenie jednak, w jakie go wprowadził dziwaczny zbieg okoliczności, nie tak prędko się rozproszyło.

Słyszał on rozmowę prowadzoną przez ludzi, u których się znajdował i ta rozmowa powinna go była przekonać, że nie jest w rozbójniczéj jaskini.

Same tylko wyrazy ubolewania nad jego przygodą dobiegały do jego uszu.

Wyrazy te były mówione tonem tak szczerym i prawdziwym, że dość było je słyszeć, aby odsunąć od siebie myśl, że były jakąś komedją.

Zresztą ci ludzie albo wierzyli w jego omdlenie, a wtedy pewni byli, że ich nie słyszy, albo niedowierzali, a w takim razie mając go w swojéj mocy, pocóżby mieli się krępować, jeżeli powzięli przeciw niemu jakieś niegodziwe zamiary.

To też na miejscu pana Maurycego, każdy odzyskałby otuchę, każdy kto w życiu swojém bywał w jakich nieszczęśliwych i trudnych położeniach, kto nieraz stawić musiał czoło losowi, a niebezpieczeństwom prawdziwym miał sposobność przyjrzeć się niejednokrotnie zbliska i spamiętać jak wyglądają.

Nasz miljoner, niestety, z téj strony nie znał świata zupełnie. Droga jego życia usłaną była kwiatami powodzenia, należał do tych szczęśliwców, o których mówią, że się urodzili w czepku. Przekonaliśmy się, i sam to przyznał panu Kwirynowi, że ową nędzę, kto-

rej chciał być opiekunem i dobroczyńcą, znał tylko powierzchownie, w teorji. Kiedy go z nią pan Kwiryn pozostawił sam na sam, wziął ją za zbrodnię, o której również teoretyczne tylko miał pojęcie.

Podejrzenie uczepiło się jego myśli i nie myślało się odczepić, przejęła go bojaźń i trwoga, a pod ich wpływem wszystko co słyszał, tłomaczył sobie na najgorsze.

Przypuszczał, że ci ludzie, którzy się nad nim litowali, którzy go pielęgnowali tak troskliwie, czynili to tylko dla zyskania na czasie. Coś im pewno nie dopisało w ułożonym planie morderstwa i rabunku. Może ktoś obcy wszedł do izby, ktoś taki, kogo nie można było przypuścić za wspólnika do tak haniebnego czynu, i zapewne dla tego nieproszonego świadka zaimprowizowali na prędce scenę samarytańskiéj litości nad człowiekiem, który się zranił przypadkowo.

Takie zrobiwszy przypuszczenie, pan Maurycy Grzmocki pod wpływem wrażeń, jakich po raz pierwszy w życiu doznawał, wziął je bardzo łatwo za rzeczywistość. Miał zamknięte oczy, a przysiągłby, że widzi tę obcą osobę, która zamordowaniu go przeszkodziła; był znawcą muzyki, miał słuch nadzwyczaj wykształcony, potrafiłby rozróżnić każdy najdelikatniejszy odcień uczucia objawiającego się dźwiękiem, a przecież ten słuch jego uległ także złudzeniu, bo byłby przysiągł, że ton, jakim przemawiają obecni na poddaszu, potwierdza wszystkie jego domysły, że słowa ich litości brzmią złowrogą, miotającą się na to, że jest zmuszona do hamowania się, złością.

Zrozumiał wkrótce, że owa mniemana osoba, któréj obecność miała nie dozwalać spełnienia na nim zamierzonéj zbrodni, jest jedynym dla niego ratunkiem. Zbrodniarze mogli gdzie wyprawić tego niepotrzebnego świadka, a wtedy wszystko byłoby stracone. Od jednéj chwili zatém, od jednego mgnienia oka, od zamknięcia się drzwi za tym opatrznościowym wysłańcem, który przybył ratować jego miljonerskie życie, zależał los jego.

Postanowił z téj chwili skorzystać. Wstąpiła w niego jakaś lwia odwaga i piorunowa determinacja.

Z szybkością myśli zerwał się z łóżka i stanął na równe nogi. Ujrzał w stancji trzy kobiéty, kołyskę i siedzącego spokojnie mężczyznę, trochę ubogich sprzętów i niewykwintnych gospodarskich przyborów, — ale oczy jego pod wpływem przerażenia nie to widziały, co przed niemi było. Wyobraźnia wypiętnowała na siatkówce jego oka obrazy zbójców kryjących noże i rewolwery w zanadrzu. Widział ich i czuł, że się tylko w takim razie z ich koła wydobędzie, jeżeli szybkim jak błyskawica ruchem znajdzie się na wolném powietrzu, nim się zdołają opamiętać.

Namysł jego nie trwał ani ćwierci sekundy. Rzucił się ku drzwiom, szarpnął stojącą przy nich Franusię, odepchnął ją tak silnie, że biedna dziewczyna padła na podłogę, uderzając skronią o krawędź łóżka, zbiegł ze schodów instynktownie, w kabłąk zgięty, aby uniknąć uderzenia mniemanéj pałki, z którą się na nich przedtém spotkało jego czoło, wybiegł bez czapki na ulicę i kłusem pospieszał do domu, nie robiąc już żadnych uwag nad niegodziwością bruku w tych stronach.

Przechodzący ulicą brali go za warjata, który się wyrwał z pod dozoru.

Zrazu chciał biedz na policję i wezwać ją, żeby aresztowała zbrodniarzy. Przyszło mu jednak na myśl, że po jego ucieczce zbójcy ci czekać pewno nie będą na wizytę przedstawicieli władzy bezpieczeństwa i porządku. Pospieszył zatém do domu i przybiegł tam prawie bezprzytomny.

Przybycie pana w takim niezwykłym stanie spowodowało sądny dzień w jego mieszkaniu Służba rozbiegła się na wszystkie strony, po doktora Tryszcza, po felczerów, po młodego pana Grzmockiego, małżonka baronówny i po hrabinę z domu Grzmocką.

W godzinę potém w wykwintnéj swéj sypialni jęczał pan Maurycy, obłożony kataplazmami i obstawiony pijawkami, narzekając na skutki nierozważnego przyzwolenia na tajemniczą pierwszą schadzkę z tą kochanką, którą całą filantropją swojego serca umiłował — z nędzą.

Dokoła jego łoża znajdowało się troje zaniepokojonych i bolejących: hrabina z domu Grzmocka, dopytująca się troskliwie czy to aby nie niebezpieczne, młody pan Grzmocki, mąż baronówny, gubiący się w domysłach, jakim sposobem ojciec jego wplątał się w jakąś awanturę, która się zakończyła guzem i chorobą, i doktor Tryszcz, powtarzający co chwila:

— Ja przecież temu nie winienem... nie podobna, żeby doktor miał być odpowiedzialny za to, że pacjent robi sobie sińce na czole i z gołą głową chodzi po ulicy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SAMSON.

Poemat hebrajski

Tomasza Olizarowskiego.

(Dokończenie).

XII.

Spotkał się ze mną lew srogi, za zdobyczami goniący:
Chwyciłem go, rozdarłem; a precz cisnąwszy, wyrzekłem:
Tak będzie ciśniony wszelki za zdobyczami goniący.
I nie skłamałem słowami. W słowa me żywot wszedł z Boga;
A w żywot weszła moc prawdy, wielkich uczynków rodzica.
Ujrzał mię nieprzyjaciel; ujrzał moc mego ramienia.
Mocą się moją przeraził — łysty na biodra zakładał —
Sromotnie pierzchał przedemną, gęsi stadami przed orłem,
Przed lwem stadami kóz dzikich; aż do nadmorskich skał pierzchał.
Izrael powstał z popiołów; przestał narzekać i płakać;
Przywdział szaty świąteczne. Srebrne się trąby ozwały.
Radość rozpięła skrzydła swoje anielskie, szerokie.
Po winnicach, po polach, pieśni zabrzmiały dziękczynne.
Błogosławieństwem wolności cedry szumiały libańskie.
Boga prawego chwała między lud pański wróciła;
Wszystek zawołał: Samsonie, zasiądź pod palmą Debory!
Nazareuszu, zbawiłeś, sądź nas po ojców zakonie! —
I wszystek się radował, że miał sąd własny nad sobą.
Jam się téż wielmie radował, lubo ostrzegał mąż senny,
Od Pana do mnie zesłany, bym się w radości oglądał,
I ku widzeniu miał oczy, i ku słyszeniu miał uszy.
Daremna była przestroga. Radość wezbrała gwałtownie.
Upadła pamięć mądrości, ludzkiéj mądrości niemocnéj.
Rozkosz weszła do myśli i zagadała do uczuć;
I przepasała mi oczy swoją przepaską czarowną...
O! bodajem był pierwéj oczy i myśli postradał!

XIII.

Zaruszał arfy strónami; puścił rozdźwięki na marność:
Nic z nich do pieśni nie złożył. W ustach mu ścięły się słowa.

Piersi podniosło westchnienie. Nowa łza krwawa wybiegła,
Z pustyni oczów wybiegłszy ściekła po licach na piersi.
Gdy słowa w ustach odżyły, do pacholęcia przemówił:
Weźmij arfę i wynieś — więcéj grać na niéj nie będę;
Dźwięki, dla mnie skończone, poczną się kiedyś w niéj znowu.
Mąż powołany od Pana, wielki mąż chwały i pieśni,
Znajdzie ją czasu swojego; zagra przed Panem, przed światem,
I przed wiekami ziemskiemi; złoży u arki przymierza.
W jaskini Etam zachowasz; a niedopuścisz zniewagi.
Lecz jeżeli Filistyn świętość jéj skazi dotknięciem;
Ogniem świętość naprawisz, w popiół ją święty przemienisz;
A ze świętego popiołu pieśń nad pieśniami wyrośnie.

XIV.

Pacholę z arfą odeszło. Samson tak daléj wyrzekał:
O! Tamnato! przeklęta, tyś zwyciężyła zwycięzcę!
Ukazałaś cudniejszą między córkami swojemi —
Uczyniłaś więc ze mnie oczów niewieścich igraszkę.
Stałem się oczów ofiarą; w sieciach rozkoszy uwięzłem.
Uwięzłem i usnąłem, dawszy moc ciału nad duchem.
O! Tamnatczanko! nad lwyś ty była, nad wojsko! Lwam rozdarł;
Wojskom pobił; a z mocą moją stanąwszy przed tobą,
Przeraziłem się oczów twoich anielskim orężem.
O twe niewieście wejrzenie duch się zatrzymał mój męzki,
Poddał się ze swoją mocą pod moc rozkoszy twych wdzięków.

XV.

O! ty, w ciało ubrana jako lilije a róże,
Postacią drugaś ty palma miła owocem i cieniem;
W oczach masz gwiazdy dwie żywe, ogniem miłości płonące;
Mowa twa w gajach Sarońskich byłaby pieśnią nad pieśni.
Wszystkaś by miłość młoda, kiedy na dziwy, na czary,
Z sadu Pańskiego wychodzi świadczyć o niebie na ziemi:
Zacóż bezecna zdrada weszła do łona twojego!
Anioł uśmiechu biały igrał przedemną w twéj twarzy,
Gdy dusza twoja myślała zdrady myślami czarnemi.
Nie spojrzałem na serce twoje, niewiasto roskoszna!
Zawierzyłem twych oczów gwiazdom i twoich ust różom.
Węża spólniczko rodzona! gniewu Pańskiego pobudko!
Bodajeś nie wyszła była z nocy żywota ludzkiego!
Albo trąd niechby był pożarł wdzięki twe, zdradzie służące!

XVI.

Na łonie zdrady usnąłem. Przyszliście Filistynowie!
Przywołała was zdrada. Wzięliście tedy śpiącego,
Związawszy ręce i nogi, w głębie więzienne zanieśli.
Ale z owoców zdrady pomsta pokarmy swe bierze.
Miłosierdzia posłaniec we śnie rzekł do mnie: Samsonie,
Filistynowie nad tobą, radzą o twojéj zagładzie.
Zbudź się! — Więc się zbudziłem. Wnetże zerwawszy powrozy
Jakoby przędze pajęcze, na twarz upadłem, wołając:
Adonaj! nie pamiętaj ducha mojego słabości!
Bądź ze mną, jako w Zarea byłeś i w Etam jaskini! —
Wstawszy wyszedłem z ciemnicy, drzwi wysadzając z wrzeciądzów.
Słońce było na niebie; strach był na twarzach strażników:
Samson! Samson! krzyknęli. Krzycząc rozbiegli się w strony.
Po mieście trwoga rzucała oczy swe wielkie straszliwe.
Lud i książęta pierzchając, jedni po domach się kryli,
Drudzy, wybiegłszy za miasto, bramy za sobą zawarli.
Wyrwałem jednę; na barkach znakiem zaniosłem na górę,
Na trwogę nieprzyjaciołom. Izrael wołał w radości:
Samgar był mocą nad wszystkich; tyś nad Samgara, Samsonie!
I wyskakiwał z radości, grając, śpiewając ucieszenie.
Nieprzyjaciel się smucił; tonąc myślami w przeszłości,
Rdzy nie odpędzał od zbroi, którą po ścianach rozwiesił.
Na izraelskich granicach stały olbrzymy straszące;
Patrząc na morza, na góry, morzom i górom groziły.
Krwawe drogi oręża zazieleniały spoczynkiem;
Uśmiechał się na ziemi pokój bogaty i wdzięczny.

XVII.

Mądrości moja człowiecza! czemuś ty ze mną nie była,
Kiedym na Sorek dolinę biegł za wdziękami Dalili!...
Jako łowcy przemyślni, żeby lwa dostać srogiego,
Siećmi czekając nań w gaju, puszczą sarneczkę w dolinie:
Ta, uciekaniem do gaju, lwa przyprowadzi za sobą
I odda sieciom łowieckim: tak też mnie, moja sarneczka
Oddała skrycie zmówionym... O! zawiniłem przed tobą
Panie! Zbudziłem gniew twój znowu, i znowum ukaran
Zdradą umiłowanéj... Lecz żal mój większy niż wina;
A miłosierdzie twoje większe niż gniew twój. Spoglądnij,
Abym się pomścił swéj krzywdy, swego kalectwa, swéj hańby!
Miéj miłosierdzie nademną! Boże mych ojców, bądź ze mną!

XVIII.

Między Filistynami mowa ta wrzawą wybuchła.
U jednych błyszczał śmiech w twarzy biały zębami; u drugich
Gniew się srożył oczyma. Jedni mówili: błaznuje;
Drudzy: pomstą nam grozi. Wszyscy więc wrzawę czynili.
Rzesza krzyknęła: śmierć mu! — Śmierć mu! wyrzekli książęta.
Wszyscy z miejsc się ruszyli. A wtém się Samson odezwał;
Piorunem głosu zawołał: Biada wam Filistynowie!
Koniec naigrawaniu! Koniec sromocie i nędzy!
Włosy moje odrosły; lwy do mych ramion wróciły.
Pan mój jest ze mną. Biada wam! Adonaj! przyjmij mą duszę! —
To rzekłszy zatrząsł słupami siłą wulkanu drugiego.
Łamią się gmachu podpory; pęka strop; ściany pękają.
Gmach cały wali się w złomy; wali się z gromu łoskotem:
Z krzykiem tysiąców zmięszany, gruzów spokojnych legł kupą.
Społem z gruzami świątyni wszystko umilkło na zawsze.
I Samson umilkł na zawsze społem z gruzami świątyni.

XIX.

Noc, bogata gwiazdami, wyszła od Morza Wielkiego
Patrzeć jak syn jéj srebrny złoto udaje słoneczne.
Do skrzydeł śmierci podobne skrzydła snu spadły na miasto.
Dziko się do księżyca chram zwaliskami uśmiechał.
Milczenie stało na straży. — Któż to tam przerwał milczenie
Rzewném wołaniem Samsona? Któż to tam, biały jak mara,
Z cieniem swym błądzi po gruzach, pilnie zwaliska przegląda,
Słowami, uchem, milczeniem bada kamienie — naprożno?
Wstrzymał się, jęknął, zaszlochał; szatę rozdarłszy na sobie,
Odszedł od gruzów i zniknął. Słońce go potém widziało,
Jak szedł ku stronie hebrajskiéj, z arfą cedrową na plecach.
I jeszcze raz go widziało, kiedy do Etam wstępował —
I nie widziało już więcéj...

XX.

W gaju Abrahi, w Zarea,
Z dziesiątek temu księżyców, smutna chodziła pogłoska
O zniknieniu dziewicy ciągle wesołéj, błękitnéj
Oczyma, złotéj włosami... Drugiéj pogłoski nie było —
Powieść przeto dowolnym niech się zakończy domysłem.

XX.

Ty zaś, o! arfo cedrowa, złota i srobrna strónami,
Przepowiedzeniem Samsona możnie odziana, bezpieczna, —
Tyś długo, w Etam jaskini, senną milczała dzierżawą;
Aż cię do rąk swych dostał syn Izajowy w Betleem,
Pasterz u ojca swojego, młodzian natchniony i silny;
Mąż potém Boży; mąż wielki chwały i pieśni: On ciebie,
Zbudzoną, wyniósł na Sion, i z tobą zasiadł na tronie. —

Gospodarka niemiecka
w tak zwanych
Prusach południowych.
Przyczynek do dziejów ojczystych z ostatnich lat XVIIIgo wieku.
(Dokończenie.)

Za pomocą klasyfikacji pana Schulz'a i całego pocztu chciwych komisarzy klasyfikacyjnych nie wydobyto nawet połowy tego, co Polacy dostarczali niegdyś na mocy czwartego grosza

Pewien człowiek poczciwy (radzca wojenny von Triebenfeld) wyrwał Hoym'a z tych kłopotów. Zawezwał Polaków, z których znaczna część bawiła jeszcze w Wrocławiu, by dla zapobieżenia nowéj znów klasyfikacji oświadczyli się jak najprędzéj, ile chcą dołożyć do dziesięciu od sta. Wspomniany patrjota przekonywał ich, że Szlązacy są szczęśliwi przy dwudziestym ósmym procencie. Dobrowolnie tedy oświadczyli Polacy, że chcą dodać 14%, a zatém płacić 24 od sta, prócz tego utrzymywać stałe magazyny, z którychby można wyżywić wojsko, bez żądania za to złamanego grosza.

Hrabia Hoym, który życzył sobie tylko naddatku piątego procentu, niezmiernie był zdumiony, gdy ów wierny człowiek zakomunikował mu uchwałę Polaków; ba, nawet tak był wzruszony tą wiadomością, że chwilowo nic nie chciał słyszeć o magazynach. Zysk dla monarchy był znaczny; nietylko bowiem oszczędzano sobie kosztów, jakieby była wywołała nowa klasyfikacja i które byłyby wynosiły kilka set tysięcy talarów, — te 24% stosunkowo więcéj znaczyły od 28% na Szląsku, który klasyfikowano 1742 r. podczas gdy w Polsce czynność ta odbyła się r. 1794 — ale i mieszkańcy byli tém zadowoleni i z ufnością zbliżać się zaczęli do tronu. Hoym odebrał za to Najwyższą pochwałę, wierny zaś patrjota (radzca wojenny von Triebenfeld) za starania swoje i koszta nic zgoła nie otrzymał, oprócz pozwolenia cieszenia się z wszystkiego tego na ustroniu i ubóstwiania w pyle tych, którym cześć nakazywano. Podczas gdy się to działo, zabrano wszystkie starostwa i dobra duchowne, ba, skonfiskowano nawet niektóre posiadłości takich powstańców, którzy żadną miarą powrócić nie chcieli do kraju. Monarcha, stworzony jedynie na to, by uszczęśliwiać ród ludzki, obdarzał pewną częścią dóbr tych wielu mężów zacnych, ale też niejednokrotnie ludzi niezasłużonych. To spowodowało w następstwie nieprzyjaciół Hoym'a, na czele których stali minister Schulenburg, Voss i Struensee, do wystawienia w najgorszém świetle Hoym'a przed światem a zwłaszcza przed przyszłym regentem, i do podstawienia mu tam stołka. Hoym tymczasem był zupełnie niewinnym; najlepszy dobry (sic) król idąc tylko za skłonnością wyświadczania dobrego, rozkazał — i komuż tu wolno było wówczas oponować? Pomimo tego odłożył na bok w ostatnich czasach kilka rozkazów gabinetowych ówczesny radzca wydziału (radzca wojenny von Triebenfeld), któremu powierzoném było opracowywanie tego rodzaju przedmiotów. Tak miał naprzykład generał hrabia Wartensleben otrzymać znaczny klucz Krewe (?), hrabia Schmettau starostwo Klunero (?), tajny radzca hrabia Carmer starostwo Mosińskie i t. d. I to już było krokiem odważnym a wszyscy ci ludzie, nic nie otrzymując, wściekali się i poprzysięgali mu zemstę.

Najdobrotliwszy król zmarł r. 1797. Hoym nie chciał przybyć do Berlina, nie będąc tam powołanym; Schulenburg korzystając z czasu, potrafił zdobyć sobie zaufanie obecnie panującego króla; pierwszém też zadaniem jego było sprowadzenie upadku Hoym'a. Wspólnie ze Struensee'm kazał Held'owi pisać paszkwile na Hoym'a, Goldbeck'a i Triebenfeld'a. Pisma te zawierały same niedorzeczności uliczne i niezgrabne oszczerstwa. Bądź co bądź czytano wszędzie ów paszkwil. Ale monarcha, tą samą co nieboszczyk ojciec jego ożywiony wzniosłą serca dobrocią, niezupełnie ucha nadstawiał nienawiści — i Hoym pozostał ministrem; Schulenburg wtedy uciekł się do podstępu; — napisał do Hoym'a, że król będąc niezadowolony z jego administracji Prus południowych, chętném okiem patrzałby na to, gdyby Hoym z własnego popędu zrzekł się tego wydziału. Hoym, którego sumienie też niezbyt było czyste, dał się wziąć na lep i prosił króla o zwolnienie go od dotychczasowych obowiązków. Schulenburg odniósł więc zwycięztwo, które też do ostatnich posunął kresów; Hoym'a wróg śmiertelny, minister v. Voss, ozdobiony orderem czerwonego orła i zaopatrzony w skrypt gabinetowy, który we wszystkich dziennikach ogłoszono — wynoszący go pod niebiosa, a równocześnie Hoym'a obrzucający błotem, — otrzymał wydział Prus południowych. Za późno spostrzegł Hoym błąd swój i daremnie się gniewał, że Schulenburg prześcignął go w podstępie. Ale wkrótce przyszedł Hoym do siebie i za pomocą pewnego Gentz'a taki nadał obrot swéj sprawie, że powołanym został do Berlina. Poświęciwszy znaczną ilość pieniędzy, odebrał wreszcie polecenie wygotowania projektu ustawy dla wszystkich wydziałów. Gdyby Hoym był korzystał z tego zaufania, jakiém go król zaszczycił, byłby mógł zdobyć sobie jaknajrozleglejsze pole działania i uszczęśliwić kraj cały. Upojony tym szczęśliwym obrotem sprawy, oddał się Hoym lenistwu, poruczając wykonanie téj pracy swemu domniemanemu przyjacielowi od serca, wspomnianemu powyżéj Gentz'owi i tajnemu radzcy finansów von Prittwitz. Nie uszło to uwagi Schulenburg'a, który też natychmiast postarał się o pozyskanie sobie obu tych bohaterów, dostarczając jednemu — t. j. Gentz'owi pieniędzy aż do przesytu, a zaklinając się na wszystko co święte przed drugim, że zaraz po upadku Hoym'a on zostanie ministrem Szląska. Odtąd Gentz i Prittwitz z wszystkiego co napisali, zdawali pierwéj sprawę Schulenburgowi; znikać też tam musiało to, co się temu ostatniemu nie podobało a natomiast wpisywano różne niedorzeczności, które tylko szkodę kraju miały na oku; wynikiem tego postępowania było, iż cała ta sprawa zagrzęzła zupełnie. — Schulenburg i Voss tryumfując czynili to tylko wyłącznie, co im niosło korzyści i co uważali za dobre dla siebie. Nietylko mieszkańcy Prus południowych głośno szemrali, ale kraj cały poczuł ciężar dwóch tych ludzi. — Hoym uroczyście przyrzekł był Polakom, w chwili gdy ci tak skoro się oświadczyli za podwyższeniem podatków, że postara się o zaprowadzenie pewnego systematu kredytowego, teraz więc prosili Polacy usilnie Voss'a o dotrzymanie danego im przyrzeczenia. Ale minister ten nie miał bynajmniéj zamiaru pozwolenia Polakom aby zorganizowali wśród siebie ziemstwo, w takim razie bowiem musiałby stracić znaczne dochody, jakie ciągnął z handlu, prowadzonego przez się drzewem a zwłaszcza też zbożem, — tém mocniéj też obawiał się tego, że za znaczne korzyści, jakie mu przynosił handel drzewem, chciał on zakupić liczne dobra w Prusach południowych, które miał już na oku. Krzyk przecież Polaków na ciągłe obchodzenie się z nimi po macoszemu doszedł już do takich rozmiarów, że bądź co bądź trzeba im było wreszcie zrobić jakieś ustępstwo i zezwolić na jaki taki kredyt. W banku, w kasie wdów, inwalidów, handlu

morskiego i sierot było cokolwiek pieniędzy a zwłaszcza dużo papierów, które dwa do trzech a najwyżéj cztery procent przynosiły. Zaproponowano tedy królowi, że możnaby pieniądze te dla ogólnego dobra Prus południowych pomieścić korzystniéj i z wyższym procentem. Monarcha w mniemaniu, że w pomoc przyjdzie swoim Prusakom południowym, zgodziwszy się chętnie na to, potwierdził propozycję ministra. Zaledwie Polacy o tém się dowiedzieli, zbiegali się tłumnie, żądając pożyczek. Każdemu tedy, kto żądał kredytu, oznajmiono warunki, na jakich mógł dostać pieniędzy: chciano, by dokumenta hipoteczne i taksy dóbr nadesłano do przejrzenia. Polacy, pouczeni częścią przez żydów, częścią przez jurystów, postarali się niebawem o taksy, które przewyższały trzy lub czterokrotnie rzeczywistą wartość dóbr. Tak naprzykład stało się przy zakupnie dóbr, które książę heski Karol Jerzy nabył w Prusach południowych za mniéj więcej 230,000 talarów; taksa zaś, którą prowadził pewien Wildeganns, a która księcia kosztowała około 3,500 talarów, dochodziła do wysokości 800,000 talarów. Taksatorami byli pewien radzca kameralny Korn i radzca sprawiedliwości Schröter. Z tą to taksą pobiegł książę do kasy wdów i do kolegjum sierot. Justycjarjuszem kasy wdów był pewien Michelis, który sprawdzając ową taksę, za wynagrodzeniem stu dukatów uznał ją jako tanią i słuszną. Książę sądził, że już ma w swym worku kilkakroć sto tysięcy talarów, gdy mu odpowiedziano, że agent nadworny Heymann Ephraïm zabrał wszystkie znajdujące się w kasie wdów pieniądze i od takowych płaci procent pięć od sta; radzono tedy księciu, by się udał do wspomnianego agenta. Natychmiast uczynił téż to książę, zapraszając do siebie Heymanna Ephraïm'a. Ale żyd ów zdobył się na tę szlachetną (sic) odwagę, że księciu, który zresztą pokrewnym był domu królewskiego, odmówił żądanych pieniędzy dla tego, że pieniądz w obecnéj chwili jest drogi Bardzo na tém zależało księciu, by mimo to wydostać owe pieniądze. Poniżył się więc o tyle, że obsypał żyda prośbami. Wzruszony grzecznością księcia żyd, dał się wreszcie ubłagać i przyrzekł 200,000 talarów na sześć lat pod tym warunkiem, że Wysokość jego raczy pozwolić odciągnąć sobie od razu 30,000 talarów meklerskiego procentu od 200,000 tal. zaraz przy wypłacie téjże sumy, a to ponieważ dzielić się on nim musi z panem ministrem, hrabią von der Schulenburg i z wszystkimi innymi urzędnikami. Skoro Wysokość Jego zgodzi się na to, rzeczony kapitał stoi do jego dyspozycji na lat sześć po pięć od sta; — książę znajdując procent dość niski, zgodził się na propozycje żyda. Niemniéj przecież minister Schulenburg obrzucił żyda najobelżywszemi epitetami i zakazał mu wypłaty owych pieniędzy księciu, ponieważ, jak mówił, nie powinno się nigdy dać zajrzeć w swoje karty człowiekowi, który tak blisko jest pokrewnionym z domem królewskim.

OBRAZKI LITEWSKIE.

Ze wspomnień tułacza

Sobarri.

(Dalszy ciąg.)

Między literatkami, poetkami i statystkami panie D'Acier, Genlis, Staël-Holstein we Francji, Drużbacką w Polsce i t. d. Te częste i pochlebne dla płci pięknéj zwroty jednały filozofowi naszemu wstęp do wielu familijnych koterji i uprzyjemniały pobyt jego w Wilnie.

Zawistny los jednak przerwał wkrótce te niebardzo filozoficzne rozprawy. — Wojenny wileński gubernator Korsakow, niewiadomo dla czego, kazał wzbronić damom dalszego na te lekcje uczęszczania. — Nagle więc opróżniła się szkoła i prócz kilkunastu uczniów, nikt prawie nie pozostał.

Między naukami do wykładania w tym roku w programacie Gołuchowskiego objętemi, były jeszcze logika i filozofja moralna. Nie będę tu wchodził w opowiadanie, jak mu się powiódł wykład tych wysokich umiejętności, bojąc się, aby mi ktoś fizykowi i naturaliście nie powiedział: *Ne ultra crepidam*; talent jego w pojmowaniu i tłomaczeniu się w metafizycznych przedmiotach oceni sam czytelnik z dołączonych tu dwóch wyjątków konkursowéj rozprawy, które X. Stanisław Krasiński w noworoczniku swoim na rok 1843 jako wzór głębokiéj nauki i jasnego tłomaczenia się wydrukował, a sławny i wprawny tych rzeczy krytyk pod udaném imieniem Gerwazego Bomby w listach swych z Polesia w Nr. 62 Tygodnika Petersburgskiego tegoż roku z szubrawskim nieco komentarzem pomieścił. — Oto jest literalna kopja tych wyjątków i rzeczonego komentarza na nie.

Pierwszym z tych wyjątków jest *Idea życia*. Pan Bomba*) czyni nad nim następujące uwagi: „W tym wyjątku swojéj rozprawy powiada autor, że ilekroć wspomina *Ideę życia*, zdumiewa się nad wielkiém jéj znaczeniem.“ — W istocie niepodobna się nie dziwić téj idei. Posłuchajmy tylko daléj: „Życie uwięzione w martwéj masie jestestw nieorganicznych jest dopiéro głębokiém dumaniem natury nad samą sobą, a w roślinach już się jakieś tęsknienie do światła rozwija“ itd. — Co to znaczy, jakim sposobem kamienie dumają głęboko same nad sobą i o czém to one dumają? czy czule, czy poetycznie? — Pietruszka tęskni do światła, czy tęskny pasternak nie pisze żałobnych elegji albo sonetów? Ach! dla czegoż nam autor nie odkrył tych tajemnic.

Teraz przejdźmy z autorem do wpływu nauk na życie. Kwestja niepospolita, warto się dowiedzieć na co te nauki się zdadzą. — Owoż podług zdania autora znaczenie ich jest dwojakie: „One podnoszą życie na wyższy szczebel i dają sposób do życia.“ — Porównanie tych wpływów, ile mogliśmy zmiarkować, skłania się na korzyść *szczebla*, ale i *sposób* nie został pokrzywdzony, bo czytamy, iż „ważnym jest przedmiotem zatrudnień ludzkich nagromadzić środki, za pomocą którychby życie z pod panowania masy uwolnione, pięknie zakwitnąć i niebiańskie owoce wydaćby mogło.“ — Łaskawi czytelnicy, *capiat qui capere potest*, racznie sami sobie to kwitnienie życia uwolnionego z pod panowania masy wytłomaczyć. Co do nas, życzymy mu deszczu i słońca. — Koniec artykuliku opiewa jakiegoś młodzieńca, którego potajemna siła pędzi w nieskończony odmęt, karmionego bohaterskim ogniem Greków i Rzymian? wychowanego w gronie Milcjadów, Leonidów, Arystydów, Fabrycjuszów, Katonów i pragnącego samemu wydać to wielkie życie, którego w historji był tylko widzem. — Téj dykteryjki o młodzieńcu żadnym

*) Sztyrmer. (Przyp. Sob.).

sposobem nie mogę zrozumieć, nie wiemy nawet do czego prowadzą tak zacne sentymenta, ale trzeba się spodziewać, że albo do szczebla, albo do sposobu.

Tytułem drugiego wyjątku jest Reflexja i Wiara, a nad nim p. Bomba tak się zastanawia: Po napomknieniu o Kancie p. Gołuchowski objaśnia nam, że „Reflexja jest odskakiwaniem umysłu od jednego przedmiotu do drugiego i oscylacją między dwoma przeciwnościami.“ Pomijając śmieszność tego wyrażenia, wypada z niego, że Reflexja będąc odskakiwaniem czyli oscylacją nie prowadzi do żadnéj konkluzji, co zupełnie sprzeciwia się naszym zwyczajnym pojęciom o tym przedmiocie. — Zreflektuj się WPan, mówi się często, cóż to znaczy? czy niech umysł WPana odskakuje? czyli niech oscyluje?... Bynajmniéj; to znaczy: zastanów się WPan, nie oscyluj ale poszukaj konkluzji. — Zresztą autor sprawiedliwie twierdzi, że Reflexja nie jest władzą twórczą, ale tylko władzą rozjaśniającą przedmioty badań. Lecz wraz potém zaczyna się ckliwa deklamacja o widoku natury, o duchu potajemnym, przemawiającym do duszy naszéj i po tych panteicznych marzeniach dumka en gros o zwierzętach niebieskich po firmamencie krążących. — Autor wszędzie widzi niepojętą jakąś siłę, która wszystko pędzi, światy rodzi i niezliczonemi stworzeniami je zaludnia. Ta niepojęta siła jest to jeszcze zabytek materjalizmu, o którego ryku ponurym sam autor wspominał. My widzimy i na niebie i na ziemi i w nas samych tylko moc Bożą, wierzymy w stworzenie światów i zaludnienie ziemi, ale czy teraz jeszcze rodzą i zaludniają się światy, o tém ani wierzymy, ani myślimy, bo wszelkie w tym względzie szperanie musi zostać bezskutecznêm. Na co się przydadzą te marzenia. — Najlepszy użytek, który z nich dotąd zrobiono, jest dziełko Fontenella „Les mondes“, lecz w tém zaludnienie planet służy tylko pretextem do popularnego wykładu systematu słonecznego. — Autor snać postanowił sobie w całym artykule ścigać reflexję, bo ostrzega nas, że poddawszy pod jéj brzytwę pomienione powyżéj fantazje o naturze, „człowiek zatruje sobie życie w samym zarodzie i wątpliwość nieustannie będzie mu dogryzać.“ — Zdaniem naszém, zależeć to będzie od reflexji czyli odskakiwania umysłu. — W ogólności jednak sądzimy, że znanie i zgłębianie przedmiotów nietylko nie przeszkadza widzieć w nich poezję, ale owszém podwyższa natchnienie wieszcze — Jesteśmy pewni, że poeta znający nauki przyrodzone, silniéj i rozumniéj może opiewać naturę jak ten, który o tych naukach żadnego nie ma pojęcia. — Potrzebaby się dziś wystrzegać straszyć młodzież jakąś odrętwiałością serca, niby to nierozłączną od zajęć naukowych, bo i bez tego młodzi ludzie zbyt mało mają zamiłowania w pożytecznéj pracy, a zbyt wiele pociągu do marzeń poetyckich. — Nadewszystko zaś nie należałoby grozić czytelnikom, że przez reflexję i nauki mogą stracić wiarę; że „na ołtarzach osiądzie wątpliwość i nieskończona czczość cały świat opanuje.“ — Jako żywo, próżniactwo i pseudo-artystostwo daleko prędzéj wyziębiają wiarę, jak praca i rozmyślanie. — Potém następują nowe poetyckie marzenia o życiu, które autor przedstawia „jako ciągłą melancholję i żałosne dumania nad okrutném przeznaczeniem; o naturze, która żadnej nad człowiekiem nie ma litości i z nieczułą obojętnością własne dzieci pożera, o woli niczém niezłamanéj i nareszcie o tém, że każdemu z nas zostawione jest urodzić się sam z siebie, do nieskończonego życia być nietylko płodem sił potajemnie działających, ale i tworem własnych swych czynów, nie zostawać tam gdzie go natura wysadziła, lecz unieść się do niedościgłéj wysokości“ itd. — W tych zastarzałych płaskich wybrykach nie masz żadnego nawet śladu głównéj myśli, któréj powinno być poddane każde dumanie o przeznaczeniu człowieka na ziemi; nie masz żadnego poglądu religijnego. Owszém autor ciągle rozprawia w duchu téj filozofji XVIII wieku, którą tak surowo gromił na początku. — Rozpatrzywszy te wyjątki z rozprawy konkursowéj przekonywamy się, że autor istotnie spóźnił się przynajmniéj na parę dziesiątków lat z ich ogłoszeniem. Takie pojęcia o idei życia, o reflexji i wierze byłyby może z zapałem przyjęte na czwartkowych obiadach, ale dziś nie warto było tych szpargałów wydobywać z teki.

Takim był jeszcze wtedy Gołuchowski. Możnaż wierzyć, iż filozof ten jako profesor lub pisarz mógł, wedle twierdzenia Mochnackiego, zjednać przewagę wydziałowi moralnemu nad matematycznym? iż mógł sprawić w naukach rewolucję na korzyść ducha z uszczerbkiem materji? iżby pobudził w kimkolwiek myśl do pojmowania saméj siebie bez względu na świat zewnętrzny? nie zaiste; Gołuchowski nikogo nie nauczył i na szczęście nikogo nawet nie zaraził tym ciemnym i niezrozumiałym tłomaczenia się sposobem, który w całym ciągu przytoczonego pisma jego jaśnie widzieć się daje. Twierdzenia więc w téj mierze Mochnackiego na żadne nie zasługują zbijania.

Pisałem w Wilnie na schyłku 1843 roku.

X. Stanisław Jundziłł.

(Koniec obrazku trzeciego).

Lipiński i Paganini w Padwie.

„Około r. 1817 przybyłem do Padwy“, tak opowiadał Lipiński, — „powiedziano mi, że w hotelu, w którym stanąłem, mieszka również Paganini i że dnia tego właśnie wieczorem ma on dać pierwszy swój w tém mieście koncert. Włochy już całe podówczas brzmiały sławą mistrza, którego nazywano powszechnie nuovo Orfeo d'Italia i podróż moja na półwysep wywołaną została cudownemi opowiadaniami, które mnie o grze jego aż w ojczyźnie dobiegły. Postanowiłem więc naprzód usłyszeć grę wielkiego Włocha w wieczornym koncercie, następnie zaś go odwiedzić.

Wcześnie udałem się na salę koncertową, aby tu sobie zdobyć dobre miejsce; przy kasie siedział niezmiernie blady człowiek o wyrazistych rysach twarzy, kruczych włosach, które w długich, naturalnych pierścieniach spadały mu na ramiona; na stole przed nim stały dwa talerze napełnione drobniejszemi i większemi sztukami monety, kilka zeszytów nut i skrzypce w pudle. Ktoby mógł być ten człowiek we fraku czarnym, zwieszającym się z całém zaniedbaniem i białéj chustce niedbale związanéj na szyi, nie miałem pojęcia. — Za złożeniem miernéj opłaty wszedłem do sali i stanąłem w niewielkiéj odległości od drzwi, na których pisany program koncertu przylepiono kilku opłatkami. Naprzód miała być uwertura, potém arja, odśpiewana przez signorę Bianchi, potém „Grande Concerto da Nicolo Paganini.“

Uwertura z Tankreda Rossiniego odegrana przez słabo obsadzoną orkiestrę, dość miernie została wykonaną. Signora Bianchi, jak się późniéj dowiedziałem, ówczesna kochanka Paganiniego, okazała się dość nieznaczącą śpiewaczką, a przecież silne oklaski rozle-

gły się po jéj śpiewie, może dla tego, aby tym sposobem wielkiego jéj przyjaciela w dobry humor wprawić. Podczas obu tych numerów koncertowego programu drzwi ani na chwilę się nie zamykały a w czasie ostatniéj pauzy napłynęła taka fala słuchaczy, że salon zapełnił się niemal zupełnie. Wreszcie wszedł człowiek, który aż dotąd siedział przy kasie; w jednéj ręce trzymał skrzypce i smyczek, w drugiéj klucz, którym zamknął drzwi wchodowe, następnie wsunąwszy go do kieszeni, poczém przecisnął się przez tłum, z wzniesionemi po nad głową skrzypcami, aż do estrady; stanąwszy skłonił się nieznacznie i dał znak orkiestrze rozpoczęcia pierwszéj frazy koncertu. Więc to był on sam: Nicolo Paganini, a utwór, który odegrał, był to ów słynny późniéj w całym muzykalnym świecie wielki koncert Es dur. Przy pierwszych taktach z podziwem spostrzegłem, że gra jego nic tak mi się podoba, jak sobie obiecywałem. Wymarzyłem sobie, że ze skrzypiec jego wypłynąć musi jakiś nieznany dotąd, potężny, czarodziejski ton, że tym tonem rozpocznie on grę swoją. Wbrew moim oczekiwaniom pierwsze jego tony były ciche, wymierzone, a przecież ten petit son nie był bynajmniéj bezdźwięcznym. Zwolna przecież, spokojnie a pewno, obrzucał on swoich słuchaczy łańcuchem magnetycznym, którego ogniwa z każdą chwilą zaciskały się mocniéj, nierozerwalniéj. Grał bo też niezrównanie; z niesłychanych technicznych trudności, o których pokonaniu przed nim nie zamarzono, które ja sam nawet dotąd uważałem za nieprzezwyciężalne, wywiązywał się z bajeczną łatwością i swobodą. — Włoska publiczność szalała burzą oklasków i ja szalałem z nią razem i po raz pierwszy poznałem, jak bardzo gran'Cassa, tak Włosi nazywają wielki bęben, może być pomocnym; gdyby nie wybitne uderzenia tego instrumentu, każdy z muzykantów orkiestry, nie słysząc się sam w chwilach owéj burzy oklasków, łatwo byłby mógł wypaść z taktu.

Skończył się koncert Es dur, maëstro skłonił się kilka razy niezgrabnie, opuścił estradę i przedzierał się, wznosząc znów wysoko po nad głową czarodziejskie skrzypce, przez publiczność ku drzwiom sali, które teraz otworzył aby na nowo usiąść przy kasie i sprzedawać bilety, bo jeszcze kilkunastu spóźnionych gości musiało poprzedniego koncertu wysłuchać z po za drzwi. Ponieważ zaś w programie wieczoru miał grać jeszcze dwa sola, był więc dość wspaniałomyślnym, aby od tych co się spóźnili żądać tylko $^2/_3$ ceny wejścia. Wyszedłem z sali za Paganinim i przedstawiłem mu się; Polacy, lubownicy muzyki podróżujący po Włoszech, wymienili mu już niejednokrotnie moje imię, więc ucieszył się, że „polski Paganini", jak mnie zwykł był potém nazywać, tyle mil przebył, aby usłyszeć grę jego; to też zaprosił mnie po koncercie do swego mieszkania w hotelu na wieczerzę. Teraz przyszła koléj na drugi jego solowy numer; włożył, zebrane w czasie pauzy, pieniądze do kieszeni, pochwycił skrzypce i znów powrócił do sali. Cóż mogę opowiedzieć o fantazji z Mojżesza; nie można tego oddać słowami a tém mniéj jeszcze skrzypcami. Wrażenie, jakie gra jego czyniła na publiczności, było niesłychaném, zapał jéj nie znał granic; co do mnie, byłem zentuzjazmowanym potęgą genueńskiego czarodzieja.

Skończył się koncert, publiczność i orkiestra opuścili salę, która, jak teraz dopiéro dostrzegłem, obok drzwi głównych posiadała jeszcze troje drzwi niemniéj na klucz zamkniętych; Paganini wyjął z kieszeni trzy klucze i drzwi otworzył. Roześmiałem się mimowolnie; on przecież spytał mnie najpoważniéj w świecie, czy znam lepszy jaki sposób, mogący koncertanta uchronić od okradających go kasjerów i wciskających się bez biletów słuchaczy; istotnie nie mogłem mu wymienić lepszego, dodałem przecież, że używanie go po za granicami Włoch byłoby całkiém niemożliwe. „O, byle się tylko nie wstydzić, stając w własnéj obronie!" odparł, wziął skrzynkę ze skrzypcami i wraz ze mną udał się do hotelu.

Równie skromnéj wieczerzy jak dnia owego, nie jadłem w życiu, podano jaja, chléb i owoce, wszystkiego nie wiele; oprócz nas dwóch usiedli jeszcze do stołu signora Bianchi, śpiewaczka dzisiejszego koncertu i signor Zuccani, którego przedstawił mi Paganini jako swego przyjaciela i artystę. Podczas wieczerzy, gdy mi signora Bianchi podawała karafkę z wodą, spytał Paganini z drwiącym uśmiechem, czy w Polsce piją dużo wody. Czemu nie! odparłem, ale zawsze obok niéj wiele wina znajdować się musi.

Przed powiedzeniem sobie felice notte zaprosiłem Paganiniego na następny ranek do siebie na śniadanie. Miałem mu coś zagrać. Przygotowałem też skrzypce i trzy etiudy solowe, porządnie trudne i na domiar jeszcze w manuskrypcie. Stroiłem skrzypce, on zaś przewracał jednę z etiud i palcami probował jéj na kieliszku szampana, który ledwie do połowy wypróżnił. „To wcale niełatwe!" zawołał i na prędce zrobiwszy z kapelusza i stojącéj na stole karafki pulpit, oparł na nim moje nuty. Pierwsza część mojéj etiudy poszła mi dnia tego tak dobrze, jak nigdy i już zabierałem się do jéj powtórzenia, gdy Paganini, który wraz ze mną ją odczytywał, porwał się nagle i nie mówiąc ani słowa, wybiegł z pokoju. Zdumiony i zagniewany nawet stałem patrząc na drzwi, które się za odchodzącym zawarły, ale w chwilkę już maëstro powrócił z gitarą w ręku; po przez drzwi otwarte dojrzałem jego przyjaciela Zuccani a Paganini spytał mnie, czy pozwolę, aby i on wszedł również Poszedłem do drzwi zapraszając go; wtedy dopiéro dostrzegłem, że trzymał w ręku trąbkę i zeszyt nut. Paganini stroił gitarę; zdumiony spytałem go co z tego będzie. Roześmiał się, usiadł obok mnie i prosił, abym rozpoczął raz jeszcze moją etiudę, chciałby mi bowiem akompanjować, przez co sztuka zyskać tylko może. Ciekaw byłem niezmiernie, raz dla tego, żem nie wiedział o tém, iż Paganini niemniéj czarownie grał na gitarze jak władał smyczkiem, powtóre, żem powątpiewał, aby tak prima vista mógł pochwycić harmonijną podstawę mojego utworu. Jeśli przecież dzień przedtém podziwiałem w nim pierwszego skrzypka świata, to dziś podziw mój nie miał granic w obec téj potężnéj gry na gitarze, w obec tego olbrzymiego talentu, z jakim, wcieliwszy się w ducha mego utworu, umiał stworzyć do niego cudny akompanjament, w obec téj nieobliczonéj szybkości, równającéj się natchnieniu, z jaką chwytał natychmiast każdą kombinację i z jaką ją uzupełniał. Ze łzami padłem w jego objęcia i zrywając sznurek od dzwonka, wołałem o nowego szampana, aby pić zdrowie wielkiego Włocha, choć on sam ledwie od czasu do czasu umaczał usta w kieliszku. Na propozycję Paganiniego graliśmy tercet. — Tercet na skrzypcach, trąbce i gitarze? — była to rzecz, o któréj nie miałem dotąd nawet pojęcia, a przecież dziwne to trio, w którém sam wykonywałem partję skrzypcową, było tylko nowym dla mnie powodem zachwytu. Od wykonania następnych dwóch etiud wymówiłem się i usiadłszy obok Zuccani'ego na kanapie, zabrałem się do śniadania. Tymczasem Paganini, zjadłszy trochę owocu wstał nagle, pochwycił mój smyczek i skrzypce, i z biegłością, o jakiéj nie miałem pojęcia, zagrał obie moje sztuki, najeżone trudnościami, które mnie nawet dotąd zaledwie w połowie udało się zwyciężyć! Podziw mój był tém większym, że skrzypce na których grał nie były jego skrzypcami a nawet mocno się od jego skrzypców różniły; nie wiedziałem czém zachwycać się więcéj, czy tą niezmierną techniką, czy bajeczną siłą palców; zdumiony pochwyciłem jego lewą

rękę i po raz pierwszy przyjrzałem się uważniéj tym drobnym, kościstym palcom. Jakże to być może, spytałem, że te wątłe, drobne palce mogą dokazać rzeczy, tak nadzwyczajnéj wymagających siły? Gdybyś pan przynajmniéj posiadał rękę atlety jak mój kolega Spohr w Niemczech, wówczas dałoby się to prędzéj jeszcze pojąć. „O, zaśmiał się Nicolo, moje palce silniejsze są niż pan sądzisz“ i mówiąc to sięgnął po talerzyk od owocu z górskiego kryształu, stojący przed nim na stole, następnie umieścił go w ręce w ten sposób, że średni jéj palec spoczywał na jego wierzchu, podczas gdy dwa inne były mu podstawą. „On panu stłucze talerz“ zawołał Zuccani i równocześnie trzask silny się rozległ a kryształ pęknął na dwoje. Daremnie Zuccani i ja łamaliśmy sobie palce, aby téjże saméj sztuki dokazać, talerze pozostawały całe a Nicolo śmiał się złośliwie jak chochlik. Bo téż u niego muszkuły i nerwy równie jak wola były stalowe“, zakończył Lipiński.

* * *

Wkrótce po owém spotkaniu obaj mistrze występowali w Piazenza w koncertach à deux violons. W 1829 r. raz jeszcze spotkali się w Warszawie.

W Paryżu, w domu znanéj z zamiłowania do sztuki hrabiny Merlin, powtórzył Paganini ponownie ową scenę z kryształowym talerzem, a to skutkiem zrobionego zakładu z jakimś lordem, który przy téj sposobności przegrał 100 gwinei.

Gdy taż hrabina spytała raz Paganiniego, chcąc go wprowadzić w ambaras, kogo uważa za pierwszego skrzypka w świecie, dowcipny Włoch odparł swobodnie:

— Pierwszego nie znam, ale drugim jest Karol Lipiński!

Wystawa wiedeńska.

III.

Turcja brała dotąd udział na wszystkich międzynarodowych wystawach, tak w Londynie, jak i w Paryżu, co więcéj, sama urządziła w r. 1863 w własnéj stolicy, w Carogrodzie, wystawę narodową, do udziału w któréj zaprosiła obce państwa; mimo to oddział turecki w Praterze przewyższa tak rozmiarami jak i wartością wszystkie widziane dotychczas wystawy tego kraju. Turcji należy się bezwątpienia w dziedzinie wschodu pierwsze miejsce. Zajmuje ona w galerjach wschodnich pałacu wystawy najwięcéj obszaru i odznacza się tak wyrobami wystawionemi wewnątrz pałacu, jak i na podwórzach najprzedniejszemi okazami. Wystawa turecka obejmuje nietylko wszystkie grupy znane nam z programu wystawowego, lecz zachwyca przedmiotami, które nie wchodząc w zakres programu, zdają się przenosić widza w zaczarowaną krainę powieści „Tysiąca i jednéj nocy.“ Nie jest tu naszém zadaniem przechodzić szczegółowo wystawę turecką, owszém chcemy na dzisiaj dać tylko pobieżny obraz takowéj i zwrócić uwagę spieszących do Wiednia na jéj bogactwo i rozmaitość, zastrzegając sobie obszerniejsze słowo w tym przedmiocie na późniéj, skoro znajdziemy się w tém położeniu, iż będziem mogli zwiedzić osobiście arenę międzynarodowéj wystawy.

Przedewszystkiém uderza nas tutaj naturalne bogactwo kraju. Tyleśmy się naczytali o przestarzałych i chwastem barbaryzmu zarosłych a pierw tyle kwitnących okolicach Małéj Azji, że mimowoli pytamy się zdziwieni, ażali jesteśmy rzeczywiście w dziedzinie promienistego półksiężyca. Węgiel, kamień, drzewo, metale, miedź, żelazo, wosk, siarkę, tytuń, pszenicę, wszystko to w obfitym znajdziesz zasobie w galerjach tureckich. Z wosku i gąbek najprzedniejszych istne utworzono piramidy. W produkcji jedwabiu surowego i kokonów jedwabnych żaden kraj Turcji nie wyrównał: przedewszystkiém wzbudzają podziw okazy pochodzące z fabryki sułtańskiéj w Brussie. Pod względem przemysłowym dywany i koce pierwsze odgrywają tu role. Ustrojono niemi całą zachodnią przestrzeń, która dziwne i niepojęte robi na widzu wrażenie. Do koła widzisz mnóstwo figur woskowych naturalnéj wielkości, poubieranych w pełne malowniczości stroje narodowe, w pośrodku oszklone pulty napełnione kosztownościami, dywany, stoły i szkatuły wysadzane złotem, słoniową kością i perłową macicą, srebrne i złote naczynia, broń prześliczną z napisami wyjętemi z ksiąg koranu, bogate złotogłowia, rzędy na konie. Nawa środkowa przenosi nas natomiast w sferę życia codziennego; dwie ściany obwieszono skórami, narzędziami rękodzielniczemi, bronią i sprzętami domowemi i kuchennemi z miedzi, gliny i drzewa. W szafach znajdują się wyroby jedwabne i złocone, kotary, obrusy, firanki; daléj ubiory i stroje kobiéce, gdzie zwracają na się powszechną uwagę cudownéj roboty pantofelki, w które ubrać swe nóżki nie powstydziłaby się żadna huryska... Tutaj godnym widzenia jest plan Bosforu w płaskorzeźbie, mający 20 kroków długości a 6 szerokości. Przedstawia on całą okolicę z miastami i wsiami, jak gdyby ze szczytu wysokiéj wieży. Jeden z kupców tureckich nadesłał artystycznie z srebra najczystszego wykonany model moszei-ak-Serai w Carogrodzie. Model ten waży 50 funtów! Nie brak w oddziale tym także zabawek dziecinnych, które w ogóle w dość pierwotnym jeszcze znajdują się stanie. Obraz etnograficzny, jaki przedstawia nam dział turecki, można w przybliżeniu uważać za zupełny i równie zamknięty w sobie i oryginalny co w dziale rosyjskim.

Im bardziéj posuwamy się ku wschodnim galerjom, tém więcéj uderza nas ów przedział, jaki wytworzył się między wschodem a cywilizacją zachodnią. W przemyśle węgierskim tu i owdzie tylko napotykamy formy narodowe, bardziéj już w Rosji, gdzie formy „europejskie“ zdają się być tylko owym pokostem, z pod którego barbarzyńska wygląda Moskwa; Grecja i Rumunja noszą na sobie wybitne cechy form narodowych. Przemysł i cywilizacja turecka natomiast owianą jest na wskroś ideą machometanizmu, ścierającą się na każdym kroku z zapędami ludów chrześcijańskich, które żyjąc pod berłem następców wielkiego proroka, szukają mimowoli oparcia na zachodzie. Usiłowania czynione w tym kierunku, niemniéj zdobycze ewangelji uwidoczniają się wyraźnie na wystawie tureckiéj i są wróżbą, że z biegiem czasu cywilizacja europejska, wciskająca się dziś już w wszystkie pory życia na wschodzie, mnożąca jego potrzeby, uczyni gwałtowny wyłom w zasklepionéj w formułkach koranowych Turcji i zmusi ją do zetknięcia się i zamalgowania z Zachodem, boć przemysł jéj i praca cywilizacyjna nie idą w parze z zachceniami i potrzebami, jakie cywilizacja wyradza.

W téj mierze szerokie otwiera się pole dla handlu i przemysłu austrjackiego, a wystawa wiedeńska ma stać się owym pośrednikiem, zwracającym uwagę Wschodu na Austrję, otwierającym jéj drogę w serce kolebki rodu ludzkiego i ułatwiającym środki wzajemnego znoszenia

się. Uda się to, w takim razie miljony wydane na wystawę, nie będą z pewnością straconemi!

W północnéj poprzecznéj galerji okręgu tureckiego usadowiła się Persja (tuż obok Rumunji), w południowéj zaś Tunis, Maroko, Egipt. Wystawa tak perska jak i turecka mało tylko zajmuje miejsca i czyni raczéj wrażenie bogatego bazaru wschodniego, przeniesionego tutaj z Londynu lub Paryża, niżeli wystawy z cechą czysto narodową. Winna temu ta przedewszystkiém okoliczność, że tak jedna jak i druga wystawa urządzoną została nie pod protekcją i kierownictwem odnośnych rządów, lecz jedynie z popędu prywatnych europejskich kupców, zostających z powyższemi państwami w handlowych stosunkach. Perską n. p. obesłał pan Morpurgo z Triestu, tunetańską zaś Ziegler i Sp. Persja nadesłała przeszło sto różnéj wielkości, jakości i wyrobu dywanów, obok tego mnóstwo zasłon jedwabnych i wełnianych, szali, czapraków prześlicznych, cacek z drzewa i papieru, wyrobów z metalu, między któremi to ostatniemi powszechną zwracają na się uwagę puchary, lampy, urny, wazy, hełmy, puklerze, koszulki druciane, puginały, szable i groty. Zbiór tunetański przedstawia się w tym kierunku bogaciéj i rozmaiciéj, lecz towar perski przewyższa wyroby tunetańskie robotą delikatną, wykończeniem i gustem. Dla nadania oddziałowi perskiemu przynajmniéj jakiéj takiéj cechy narodowéj, wystawiono kilkanaście ksiąg — rękopisma chaldejskie i papyrusy z pismem klinowatém. Charakterystycznym jest ów zmysł artystyczny i smak wybredny, jaki przebija się we wszystkich wyrobach przemysłu perskiego, do którego podniesienia nie przyczyniają się bynajmniéj ciągłe klęski, jakie nawiedzają Persję, klęski w postaci głodu, zarazy a w końcu niegodziwych rządów, uciskających ją w sposób nielitościwy. W oddziale tunetańskim podziwiają wyszywane zielonym i czerwonym jedwabiem burnusy, daléj zbiór broni kosztownéj jenerała Hussein, kolekcje monet, sięgających najdawniejszych czasów, posągi i mozaiki wygrzebane w ruinach Kartaginy i t. d. Z Tunisem łączy się, jak to nam już wiadomo, Marocco, a z tém ostatniém Egipt. — Marocco nadesłało liczny zbiór ziemiopłodów, wyrobów jedwabnych, tkanin, broni. Egipt zaś popisuje się przeważnie z takiemi samemi wyrobami, jakie nadesłała na wystawę Turcja, tylko że w wytworach egipskich przebija się więcéj niźli w tureckich wpływ Zachodu, któremu szczerze czy nieszczerze hołduje demonstracyjnie dzisiejszy Khediwe.

Jeśli, zwiedzając galerje Tunisu i Marocco zdaje nam się, iż jesteśmy w bazarze kupieckim, to natomiast wystawa japońska i chińska przenosi rzeczywiście widza w dziedzinę państwa niebieskiego. Japonja nie szczędziła ani trudów ani kosztów, aby na wystawie wiedeńskiéj w pełnéj okazać się szacie i dać miarę rzeczywistego swego przemysłu. W tym celu rząd japoński przeznaczył pół miljona dolarów, a ofiarność pojedynczych wystawców dopełniła reszty. Jakieś bóstwo opiekuńcze, pomalowane w czarne z białem pasy, stoi na straży działu japońskiego, gdzie cywilizacja europejska ściera się z japońską i w połowie już odnosi zwycięztwo. W skrzynce szklannéj poumieszczano stare i nowe monety japońskie: stare, podługowate, owalne, gzygzakowate ustąpiły dziś już miejsca okrągłym pieniążkom z złota, srebra i miedzi, a co do formy i wielkości odlewu nie ustępujące wcale naszéj monecie. Zabawki dziecinne zajmują jedno z pierwszych miejsc nietylko w tym oddziale, lecz w ogóle w całéj wystawie. Podziwienia godne są tutaj zaiste wyroby jedwabne i hafty. Wachlarze japońskie z najrozmaitszego sporządzane materjału ustaloną mają sławę i tutaj dziwować się tylko przychodzi ich mnogości i tysiącznym formom. Japończycy i Chińczycy są w téj mierze nieprześcignionymi! Oddział chiński jest jednym z najwięcéj zajmujących, przedstawia nam bowiem dokładny obraz nietylko płodów jakie tamtejsza rodzi ziemia, lecz wytworów będących dziełem przemysłu, zapobiegliwości, sztuki synów państwa niebieskiego. Chiny obsełając wystawę, zdały obliczać się z doświadczeniami odniesionemi w ostatnim lat dziesiątku z zetknięcia się z Europą i wygrały...

W ten sposób skończyliśmy pobieżną wędrówkę po pałacu wystawy. W gmachu tym zgromadzono część tylko przedmiotów przysłanych na wystawę, większą część ustawiono w galerjach otwartych i rozlicznych pawilonach, pobudowanych na ogromnéj przestrzeni Prateru. — O jednych i drugich pomówimy w następnym numerze, gdzie wyłożymy zarazem niedostatki wystawy wiedeńskiéj i będziem się starali słów kilka powiedzieć o stanowisku przemysłu polskiego w ogóle na téjże wystawie.

K. Z.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— **Z powodu 300-letniego jubileuszu** gimnazjum ad St. Mariam Magdalenam, o którym piszemy na czele pisma, wydano tu Festschrift, obejmujący program uroczystości, spis nauczycieli i uczniów a nadewszystko rozprawę nauczyciela Karola Steinera p. t. „Das Universum und der Mensch.“ Pomimo, iż ani ta rozprawka, ani całe Festschrift nie ma żadnéj styczności z wojskowością i polityką, autor rozprawy dedykował ją komenderującemu jenerałowi v. Kirchbach i zaopatrzył następującą przedmową:

„Bitwa pod Weissenburgiem utorowała niemieckiemu orężowi drogę zwycięztwa, któremu Niemcy zawdzięczają rosnącą swą wielkość i jedność.

Niechaj dzień 4 sierpnia 1870 dopomoże tak do zwycięztwa prawdy na wszystkich polach publicznego życia, jak stare kłamstwo i fałsz zgotowały podówczas potężnemu sąsiadowi klęskę.

Genjuszowi owego dnia honorowego niemieckiego narodu i historycznemu jego bohaterowi niechaj poświęconém będzie to pismo na 300-letnią rocznicę, którą obchodzi Gimnazjum Marji Magdaleny pod rozumném berłem Wilhelma I, cesarza niemieckiego i króla pruskiego.“

Sądzimy, że żaden z niewolników wielkiego Mogoła niżéj upaść nie zdołał od tego importowanego nauczyciela naszych dzieci, który bodaj czy nie jest owym białym murzynem, którego odszukał jeden z lwowskich podróżników w okolicach Paragwaju.

* * *

Walne zebranie Tow. Przyjaciół Nauk odbyło się w Poznaniu w dniu 26 czerwca pod przewodnictwem Augusta hr. Cieszkowskiego. Po zdaniu sprawy z czynności za rok ubiegły przez Zarząd, składający się

z pp. Dr. Karola Libelta, St. Koźmiana, Dr. Mateckiego, Dr. Świderskiego i Hieronima Feldmanowskiego; po wysłuchaniu komisji budowlanéj, któréj przewodniczy p. Leon Śmitkowski i sprawdzeniu stanu kasy, przystąpiono do obioru nowych członków przedstawionych przez Zarząd. Członkami zwyczajnemi mianowani zostali: Wawrzyniec hr. Engeström, Józef Kościelski, Dr. W. M. Olendzki, Dr. Rakowicz, ks. prof. Tłoczyński, Edward Trzciński i pułkownik Zakrzewski. Na korespondentów powołano: Dr. Gustaw Roszkowski i Skimborowicz z Warszawy, oraz prof. Święcicki ze Lwowa. Członkiem honorowym został ks. Dr. Kraiński, b. prof. uniwersytetu w Wrocławiu.

* * *

— **Walne zebranie Tow. Pomocy Naukowéj dla dziewcząt polskich w Poznaniu** odbyło się w dniu 28 czerwca pod przewodnictwem hr. Sewerynowéj Mielżyńskiéj. Ze sprawozdania czynności, odczytanego przez pannę Augustę Zabłocką, dowiadujemy się, iż w ciągu ubiegłego roku 31 dziewcząt pobierało stypendja na kształcenie się w rozmaitych praktycznych zawodach. Z nich 10 ukończyło nauki a 5 nowych uczennic wstępuje na koszt Towarzystwa. — Stan kasy wykazuje za rok ubiegły 1,802 tal. dochodu, z którego po odtrąceniu kosztów na utrzymanie dziewcząt pozostaje remanentu 598 tal. — Zarząd Towarzystwa składały panie: Emilja Sczaniecka, Leonardowa hr. Kwilecka, Sewerynowa hr. Mielżyńska, p. Wawrowska, Wanda Brezina, Bibjanna Moraczewska, Józefa Grabowska, Anna Łubieńska, Antonina Bronikowska, Aniela Chrzanowska, Anastazja Warnka, Helena Jakowicka, Helena Karsznicka, Augustyna Zabłocka i p. Franciszek Dobrowolski. Wystąpiły dobrowolnie pp. Bronikowska, Warnka i Zabłocka — w ich miejsce wybrano pp. Nieżychowską, Br. Grabską i Sczaniecką. Przewodniczącą w Zarządzie pozostała nadal p. Bibjanna Moraczewska.

* * *

— Pan **Stanisław Tułodziecki**, mianowany, jak wiadomo, członkiem dyrekcji Spółki akcyjnéj teatru polskiego w ogrodzie Potockiego, obejmuje z dniem 1 lipca r. b. kasę téjże Spółki. Od dnia tego więc pp. akcjonarjusze powinni przesyłać raty na akcje téj Spółki na ręce nowego tego kasjera, który mieszka przy Wilhelmowskim placu Nr. 3, w Hotelu du Nord.

* * *

— Wychodzące w Pradze pismo polityczne **La Correspondance slave** przestaje wychodzić z powodu nieprzyjaznéj sytuacji politycznéj i finansowéj. Redakcja zapowiada jednak, iż za nadejściem przyjaźniejszéj chwili wydawnictwo na nowo podniesie.

* * *

— W Poznaniu wyszły tylko co z druku „Szkice humorystyczno-obyczajowe“ **Z portretów familijnych.** Bezimiennego autora domyślać się tylko można po kaustycznym dowcipie. Recenzję z tych „Portretów“ podamy w jednym z następnych numerów Tygodnika.

* * *

— **Teki Narodowéj** wydawanéj w Berlinie staraniem znanego Karola Forstera, wyszedł zeszyt IV, zawierający bezimienne studjum historyczno-polityczne p. t. „Polska, Przeszłość — Obecność — Przyszłość.“ Czcigodny wydawca opatrzył to dzieło przedmową, w któréj oświadcza, iż dla niekorzystnych stosunków finansowych, od dalszego wydawnictwa ustępuje. Tak tedy mamy nowy upadek do zarejestrowania, nowy dowód obojętności publicznéj na sprawy narodowéj literatury, nowy policzek wymierzony tak szumnie zapowiadanym organicznym pracom, kończącym się zwykle na utorowaniu drogi dla interesów lub pychy jednostek.

* * *

— **Bibljoteki umiejętności przyrodniczych**, wydawanéj w Krakowie pod redakcją Ludwika Masłowskiego, wyszedł zeszyt VIII i IX, zawierające Wilhelma Wundta „Wykłady o duszy ludzkiéj i zwierzęcéj.“

* * *

— Nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu wyszło nowe dzieło Leona Wegnera p. t. **Tadeusz Rejtan** na sejmie warszawskim w r. 1773.

* * *

— W Krakowie wyszły w przekładzie Adolfa Dygasińskiego wykłady prof. Maxa Müllera: **Religija jako przedmiot umiejętności porównawczéj.** — Tamże wyszło jako odbitka z Bibl. umiejęt. przyr. dzieło **Johna Tyndala** „Ciepło jako rodzaj ruchu“ w przekładzie Ludwika Masłowskiego.

Skrzynka do listów.

— E. E. w Przemyślu: Wiersz Pani będzie umieszczony — każde Jéj pismo czytamy chętnie. Pojmujemy Panią zupełnie, ale pojmujemy też nasze obowiązki — czasy roztkliwionego romantyzmu przeszły i wracać do niego niepodobna. Serca nasze nie są tak oschłe jak Pani zdajesz się sądzić, jeżeli zaś nie bujamy w eterach, to tém silniéj kochamy wszystko co w świecie rzeczywistym na miłość zasługuje. „Z Bogiem za Ojczyznę i wolność wewnętrzną człowieka“, oto nasze hasło, z którém śmiało idziemy do boju.

— Ant. Soz. pod Samborem: Dziękujemy serdecznie za pamięć. Staramy się sumiennie o dogodzenie naszym czytelnikom, atoli „jeszcze się nie narodził, ktoby wszystkim dogodził.“ Przyklaskujemy myśli Pańskiéj zwołania dziennikarskiego sejmiku — warto abyś się Pan tém szczerze zajął, przygotowawszy się na trudności.

— Zbigniewowi w Skalmierzycach: „Rapsodji“ drukować nie możemy, serdeczna ale słaba.

— Wład. T. w Szczurowicach: „Starość nie radość“ drukowaną nie będzie. W powieści jesteśmy zaopatrzeni i w téj chwili z oferty korzystać nie możemy.

— Edwardowi Jelinek w Pradze: Spis odebraliśmy i korzystać będziemy, tylko trochę cierpliwości.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.